Nr. 42. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 17. Października 1846.*

Przemysław i jego żona Ludgarda. — Kilka postrzeżeń o rozmowie i towarzystwie (dokończenie). — Legenda przez Ad. Am. Kosińskiego. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga. — Treść zeszytu dziesiątego roku I. pisma miesięcznego: Kościół i Szkoła.



Król Przemysław z żoną swoją Ludgardą.

Przemysław i jego żona Ludgarda.

Kiedy Polska przez blisko dwa wieki w skutek podziału pomiędzy synów Krzywoustego, domowemi wojnami gnębiona i wycieńczona, swą dawną sławę i potęgę zupełnie postradała; Przemysław, książę Poznański, otoczył ją znowu choć na krótki czas, świetnym blaskiem. Nie tylko bowiem przybrał tytuł Króla, którego od czasów Bolesława Śmiałego jego poprzednicy nie używali, i z wielką okazałością koronować się kazał, ale i znaczenie nadał swemu królestwu, przez znakomite ziemie, które już jako książę posiadał. Tak stała się Polska na raz potężną i cieszyła się nadzieją, że lepszych zażyje czasów; atoli przewaga Przemysława stała się powodem zazdrości, a wreście dla niego zgubą. Margrabiowie bowiem Brandenburscy, z domu Anhalt, którzy Nową Marchią w puszczach i gruntach Polskich byli założyli i do Pomorza się wdzierali, obawiając się, aby Przemysław ich postępowi nie przeszkodził, spiknęli się przeciw niemu. Od nich zabity Król w Rogoźnie, po ośmiomiesięcznem panowaniu, gdy go nad świtem niespodzianie po zdradziecku napadłszy gwałtem uwieźć chcieli. Co bardziéj gorszyć powinno, jest to, że do spisku Margrabiów niektórzy możnowładzcy Polscy wchodzili. Rzecz uwagi godna, że dom tych Margrabiów z linii Anhalt Alberta Niedźwiedzia w przeciągu lat dwudziestu i kilku, lubo dwanaście głów było przy życiu, ze szczętem zszedł bezpotomnie do grobu, a kraj dziedziczny poszedł na zabór innym, którzy do niego nie należeli, a zaś pokrewniona linia Anhalt, do któréj wtedy dostojeństwo Elektorstwa Saskiego także należało, tak od Brandenburgii, jak i od Saxonii dziedzictwa została odsunięta. Nałęczowie i Zarębowie niektórzy za spółkę swoję przy zabójstwie Przemysława I. aż do Kazimierza III., W., mieli ponosić tę karę, iż nie wolno im było stawać z innem rycerstwem do boju, ani nosić koloru szkarłatowego, czyli czerwonego. Za zasługi na wojnach Ruskich uwolnił ich od tego Kazimierz III. Wielki, lecz to podanie Długosz jako powieść niepewną uważa.

Imię Przemysława splamione zostało okropnym czynem, który na żonie swojéj popełnił. Nią była Ludgarda, księżna pełna cnót i bogobojności, lecz na nieszczęście niepłodna. Król, pragnąc następcy, miał ją, jak wieść niesie, kazać zamordować; poczém pojął za żonę Ryksę. Z téj powieści korzystało kilku poetów. Kropiński napisał tragedyą, p. t.: *Ludgarda*, która przez długi czas była podziwianą, póki w ogóle dzieła naszych klassyków za wzór były uważane; dziś nie może mieć wielkiéj wartości jako dramat. Daleko szczęśliwiéj powiodło się Karpińskiemu. Korzystał on z tego podania, aby napisał dumę, która ma w sobie tyle piękności, iż niezawodnie do najlepszych płodów Karpińskiego należeć może.

Kilka postrzeżeń o rozmowie i towarzystwie.

(Dokończenie.)

Wiele dodaje uroku rozmowie, jeżeli mówiący nie patrzy w sufit lub w ziemię, lecz zwraca się do jednéj, lub wielu osób, tym sposobem daje poznać, że dla wszystkich mówi, wszystkim zostawiając pole do wystąpienia ze zdaniem lub odpowiedzią.

W żadnym a żadnym przypadku nie czyń zapytań. Raz, że to rzecz nudna i niepotrzebna; powtóre, że możesz wywołać ambarasującą odpowiedź. Są ludzie tak nieszczęśliwi, którzy prawie na końcu każdego słowa mają znak zapytania. Ledwie zdobędziesz się odpowiedzieć na jedno, już drugie, trzecie i dziesiąte spada na ciebie. Znałem pewnego młodzieńca, z którym przeżyłem kilka miesięcy w bliskich stósunkach; miał on nieszczęśliwy nałóg robienia zapytań, przez co stawał się tak nudnie nieznośnym, żem mu zagroził nieodpowiadać na żadne odezwanie się w formie zapytania.

We wszystkich czasach i miejscach królowało i króluje samowładnie pochlebstwo. Mało kto nie ulega téj słabości, mniéj ktoby nad nią był wyższy. Na dworze, w obozie, w kościele, wszędzie rej wodzi. Kto umié trafnie pochlebiać, ten jest potęgą w towarzyskich kołach.

Potęga pochlebstwa z rozmaitych pochodzi źródeł. Bądź osoba, która odbiéra pochlebstwo, doznaje przyjemności i czuje się za to zobowiązaną, bez dochodzenia głębszéj przyczyny; bądź też wyobrażając sobie, żeśmy rzeczywiście wysoko położeni w dobrém rozumieniu osoby chwalącéj nas, wolimy przystać na jéj stronę, niż jéj szacunek utracić; bądź nakoniec pochlebstwo

uważamy za dowód grzeczności, i w tym przypadku wolimy poddać się zdaniu schlebiającego, niż odrzucając takowe, narażać się na zarzut niegrzeczności.

Pochlebstwo nie zręczne jest grubą częstokroć obrazą. Żeby się mogło podobać, powinno pochodzić niejako z natchnienia, powinno być mimowolnym wyrazem niezmyślonego podziwu i uwielbienia. W ogóle zręczne pochlebstwo musi niejako płynąć ze szczérości uczuć, a wtedy nigdy nie chybi celu, bo jest oparte na pierwiastku naszéj natury: nie możemy nie lubić tego, o którym mamy przekonanie, że nas lubi.

Mylą się ci, co uważają mężczyznę mniéj przystępnym pochlebstwu, niż kobiétę. Cała różnica: że kobiecie dość mówić o szacunku dla niéj, mężczyźnie trzeba dowieść, że go się szanuje.

Podrzędnym rodzajem pochlebstwa są grzecznostki, czyli komplementa; istne harcowniki przed wydaniem stanowczéj bitwy. Prędzéjbym porównał je do fałszywéj monety, którą dostawszy, radbyś co prędzéj pozbyć. Zwykle są to stereotypowane sposoby mówienia; bywają ludzie, mianowicie, co jeszcze augustowskich czasów zarwali, z niewyczerpanym zasobem komplementów, które całą garścią, razem z karmelkami rozdają. W pogadance bardzo są słodcy, niekiedy do unudzenia, w apostrofach do pięknych ócz, włosów i rączek, jednostajni.

Mężczyźni w powszechności strzegą się wszczynać poważną rozmowę w towarzystwie kobiét; mniemam, że mają w tém słuszność. W każdém gronie znajdzie się zawsze kilka młodych, pięknych, wesołych kobiet, którym wypadki dzienne, mody, bale, nastręczają tyle powabnych przedmiotów. Nie bez tego, aby nie było podeszłych matron, marcowych panien, mających pretensyę do głębokiéj nauki. Takim podobasz się, wprowadzając na scenę jaki przedmiot ściśle naukowy, o którym nie mają żadnego wyobrażenia; twoim obowiązkiem tak go poprowadzić, żeby im się zdawało, iż połowę rozwiązały zadania.

Chcąc pozyskać wziętość u kobiet, potrzeba znać na palcach ich słownik.

Nigdy nie powtarzaj kobiecie, że piękna, dowcipna, ładnie gra, tańczy i t. d. Ona to wié lepiéj od ciebie.

Jeżeli kochasz się w kobiecie, pamiętaj nieuchybiać reszcie téj płci. Tylko ta, która jest twéj miłości celem, postrzegać ją powinna.

Trochę miłości własnéj, byś nie zapominał, coś winien samemu sobie; trochę dobrego serca, aby cię ostrzegało, coś winien drugim; oto nie ledwie cały moralny zapas człowieka, mogącego być pożądanym w salonie.

Zbytnia żywość, zbytnie opuszczenie się, zupełnie przeszkadzają grzeczności; pierwsza nas prowadzi za daleko, druga za nadto w tyle zostawia.

Nil admirari stoickie, zwykłą bywa regułą w stósunkach mężczyzn z mężczyznami; w stósunku z płcią piękną, zupełnie inaczéj być potrzeba. Podziw, zachwycenie, entuzyazm, oto środki, któremi zręcznie trafia się do kobiet.

Sprzeczki, w obecności innych osób, zgoła unikaj. Jeżeli ktoś wyjedzie ze zdaniem, które uważasz z gruntu za fałszywe, wolisz zmilczéć; bo chcąc go przekonać, musiałbyś ruszyć całe góry prawd i dowodów. Jeżeli ktoś mylnie opowiada jaki małoznaczny wypadek, zbądź go obojętném kiwnieniem głowy; lub sprostuj, przy innéj sposobności.

Jedną z głównych przywar towarzystw naszych, jest nieumiejętność utrzymania rozmowy; najczęściéj jedni drugim wpadają w tok opowiadania, prostują, lub całkiem zrywają wątek, wyjeżdżając z czémś nowém. Z tego powstaje hałas nieznośny; ten sobie, ów sobie porywa słuchaczy, (jeżeli mogą być słuchacze tam, gdzie wszyscy mówią) z ogólnéj kompanii, tworzą się drobne kółka, i tym sposobem nigdy duch wyższéj pogadanki wyrobić się nie może, przechodząc zawsze na poufałą gawędę, gdzie się mówi, *co ślina do ust przyniesie*, gdzie nie masz potrzeby ważyć słów, dobierać ich harmonijnie, sadzić się na zwięzłość i trafność wyrażeń, gdzie nie odpowiadasz ani rumieńcem, ani pomięszanym wzrokiem za płaski koncept, lub nieokrzesany wyraz. Twoim sędzią, twój jedyny słuchacz, i nawzajem. Tacy cenzorowie muszą być wyrozumiałymi. Wytknąłem ten niedostatek wyższéj rozmowy, mamy ztąd nie lada szkodę dla języka narodowego, który z dniem każdym traci oryginalność potocznego stylu. Przecież dobrze pamiętam, jak starzy nasi umieli się i powitać i pożegnać, i grzecznie zaprosić, a nawet zręcznie wtrącić materyę ważniejszą, a zawsze zwrotem staropolskim, bez ratowania się francuzczyzną.

Dzisiaj, w przytrudnéj odpowiedzi, lub gdzie chodzi o niedraśnięcie czyjéj miłości własnéj, lub téż o gładką impertynencyę, wszyscy uciekają się do mowy cudzoziemskiéj. Namiętność, uniesienie, chwilka zapału, obraza, gniew, jakże rzadko dziś malują się w ojczystéj mowie! Właśnie tam, gdzieby język nasz mógł się w nowy kształt wyłamać, jak na złość łatamy się obczyzną! Nieszczęściem, język francuski stał się językiem dobrego tonu, dyplomem wyższego wychowania, więc jaki taki, co ani tonu nie ma, ani wychowania, garnie się do francuzczyzny, myśląc, że szychem cudzych wyrażeń, nędzę własną przykryje. — Jużby raz wypadało zrozumieć, co ton dobry, i wyższe wychowanie, i nie mięszać do polskiéj mowy słów francuskich. Tylu pisarzy w książkach i na scenie karciło ten szkodliwy zwyczaj; — śmieszność, broń za słaba, czy zużyta? nie wiem — czémże już walczyć? chyba pogardą!

Rozwiodłem się szerzéj cokolwiek w tym przedmiocie drażliwym, może nawet z obrazą przyzwoitości, którą przed chwilą tak zalecałem w posiedzeniu. Wracam tedy do zimniejszych reguł towarzyskich: W rozmowie wypada unikać przysłów i wszelkich czczych sposobów mówienia. Ustawiczne: *Mości Dobrodzieju* — *Mościa Dziko* — *słowo honoru* — *uczciwszy uszy* — *za pozwoleniem* — *tere fere* i t. p., które tak szpecą mowę, jak brodawki oblicze, śmiech tylko wzbudzają kosztem mówiącego.

Niemniéj jak używanie przysłów, rażące jest powtarzanie jednych a jednych anekdot w obecności tych samych osób. Znałem pewnego wiejskiego dowcipnisia, który zawsze miał na doręczu anekdotę; słysząc je po kilkanaście razy, wyrachowałem, że cały zapas nie przechodził tuzina. Z tego powodu zastósowaćby można do niego ten rys o panu Jowialskim z komedyi Fredry:

„A słyszeliście moją anekdotę?

— Słyszeliśmy. —

„A więc posłuchajcie i t. d.“

Nie masz nic przyjemniejszego, ani trudniejszego, jak opowiedzieć anekdotę z zupełną trafnością.

Potrzeba ją wprowadzać nieznacznie i bez zaciągania, tak, żeby się odnosiła do potocznéj materyi i była w zupełnéj harmonii ze smakiem towarzystwa, oraz z treścią i tonem rozmowy. Przedewszystkiem powinna być krótką, dowcipną, dobrze opowiedzianą, świéżą, nie zaś wyjętą z gramatyki Majdyngiera, lub innych oklepanych zbiorów.

W pogadance ożywionéj, toczącéj się szybko, gdy niecierpliwość i namiętność miota słuchaczami, jak na balu lub przechadzce, przestań na pokazaniu dowcipu i duszy twojéj powiastki, zręcznie wymijając szczegóły; w innych miejscach łatwiéj ci będzie wrócić do drobnostek i szczegółów, wszakże unikając znudzenia słuchaczy. Jeżeli opowiadasz zdarzenie prawdziwe, staraj się być dokładnym, i nic nie przesadzaj, ani dodawaj. Nadewszystko strzeż się zapomnieć rozwiązania historyi, lub głównego dowcipu w anekdocie. Trudno co pociesznieszego, jak zacząć a nie umieć skończyć.

Nie łatwo jest dla kogoś, co wiele podróżował, zachować przyzwoity środek między skromnością a zbytniém rozwodzeniem się o doznanych przygodach. Każdy spodziewa się doznać rozrywki, słuchając twoich opowiadań; jest zatém rzeczą niezbędną ziścić oczekiwaną nadzieję. Opowiadający niech wszakże unika powtarzać co chwila: *Kiedy podróżowałem po wschodzie* i t. d.

Są niektórzy nieubłagani opowiadacze przygód doznanych w podróżach po krajach nie dalekich i nie ciekawych; tacy dorwawszy się głosu, męczą na śmierć słuchaczy. Zdarzyło mi się spotkać z pewnym jegomością, który przez trzy wieczory opowiadał podróż do Kalisbatu.... —

Rzeczą najnieznośniejszą, a razem najmniejszą, a razem najmniéj świadczącą o dobrém wychowaniu, nazwałbym używanie w pogadance dwóznaczników. Są, którzy na to cały swój dowcip łożą, i zaiste niéma im czego zazdrościć!

Między różnémi rodzajami prowadzenia rozmowy, uważałem pogadankę prowadzoną w duchu sprzeciwieństwa. Ktoś skwaszony, ze spazmatycznym atakiem, przychodzi i rzuca swoje *niepozwalam* w brew prawdzie jasnéj jak słońce. Jeśli się nie poznasz od razu na jego octowym humorze, występujesz z nim w szranki i godzisz na ostre, i dopiero po kilku cięciach poznasz z kim masz sprawę, i żałujesz próżnego uniesienia i zapału.

Na dobitek tych rozrzuconych rysów, dodał-



Plac przed wielkim teatrem w Warszawie.

bym maxymę wziętą z doświadczenia: Znajdując się w towarzystwie, jeżeli chcesz być miłym i dobrze widzianym, nigdy nie wymieniaj nikogo po nazwisku. Wprawdzie będziesz słuchany ciekawie, bo ludzie obmowę lubią; lecz dla obmowcy nie mogą mieć poważania. Zrób tak w kilku miejscach, a zaraz nabędziesz sławy ostrego języka, propagatora potwarzy; jaki taki stronić będzie od ciebie jak od zadżumionego, i nic ci nie pozostanie, tylko gdzie indziéj przenieść pole skandalicznych działań. Przeciwnie, jeżeli ci się trafi spotkać jaką złośliwą imościankę, co wszystkich rada na ząbki bierze, wystąp śmiało, język twój niech pali i siecze jak miecz płomienisty, pobij ją własną jéj bronią i pokaż, jak to niebezpiecznie wady własnego charakteru przypisywać drugim.

W stósunkach ze światem, bierz ludzi tak, jak są, a towarzystwo w zwyczajnym jego składzie; postępowanie twoje szlachetne i wzniosłe, wyrozumiałość dla słabości, skuteczniéj mogą działać, niż narzucanie gwałtownych reform, lub ostra krytyka. Rola bociana, aczkolwiek bardzo piękna, nie wytępi przywar i nałogów, bo zawsze znajdzie się jakaś strona w człowieku, która go od zupełnego potępienia zasłoni. Z resztą, cóż są te wszystkie salony i towarzystwa? oto komedyą, w któréj arlekin nigdy nie występuje bez maski. Uczucia twoje, skłonności wyższe, chowaj dla domowego zakątka, a rzeczywisty charakter dla poufałych przyjaciół — publicznie zaś, stósuj się do osób i rzeczy.

Przewóz przy Kazimierzu lubelskim.

Legenda

przez

Ad. Am. Kosińskiego. (*)

Piękny krajobraz mieli przed sobą podróżni. Nowo wybudowane miasto Kaziміérz zasiadło u stóp olbrzymiego wzgórza, tuż prawie

(*) Z Bibl. Warszawskiéj.

ponad brzegiem Wisły; rozmaitego kształtu i wielkości jego domy to się skupiały w obszerne ulice i rynek, to rozbiegały w różnych kierunkach po wzgórzach i czeluściach parowu. Ostre szczyty wieży klasztornéj i dwie parafialnego kościoła, wznosząc się wysoko pod mgłę chmur, zdawały się wskazywać wiernym wyznawcom świętéj chrześciańskiéj wiary, cel ich ziemskiego bytu, w troskach pociechę, modłów kierunek — niebo.

Na stromym i opoczystym pagórku, w małéj odległości od miasta, rozsiadł się zamek, górując nad skromnemi domami nowego grodu, przenosząc je siłą i wzrostem, wydawał się niby ojciec — orzeł pilnujący swych dziatek, niby baczny pastérz, czuwający nad bezpieczeństwem swéj trzody.

Na prawo miasta inny widok; tam założyciel grodu, mądry i gospodarny Kazimiérz trzeci, odwiecznego rodu Piastów, ostatni odłamek, długim rzędem frontami do Wisły, kazał wznieść śpichrze i składy zbożowe.

A te wszystkie budowle, obszerne, piątrowe, całe złotém napełnione zbożem, świadczyły o zamożności kraju, jéj rękojmią były.

Mury zaś ich grube, fronty rycersko wystąpione naprzód, przekonywały, że i bronić w razie potrzeby potrafiłyby powierzonych sobie skarbów krainy.

Przy mieście rozlegle na prawo i lewo, jak mętna Wisła szeroką wstęgą rozdziela Sandomiérską od Lubelskiéj dzierzawy potoczyste wzgórza, jedne wieńczy ciemną koroną świerkowy las, inne pług rozrył na skiby, odział w złote szaty zbóż i majowy płaszcz pastewnych roślin; na szczytach zaś tych wzgórzy dojrzysz tu i tam, to skromną zagrodę wieśniaka, to parafialną świątynię, lub wreszcie szlachecki dworzec, o ganku obszernym, o dachu wysokim, otoczony wirydarzem pełnym drzew owocowych i wonnego kwiecia.

Na skraju zaś widnokręgu, na wzgórzu wyższém od innych, dumnie wznosi się Bochotnicki zamek, jednocześnie wybudowan z Kazimiérzem, lecz niepodzielający jego ziemiańskich zatrudnień: hardy rycerz wyłącznie myśli o boju; z twardéj opoki, na któréj siedzi, chciwie i groźnie pogląda swemi żelazną kratą zbrojnemi oknami, czy z któréj strony nie nadciąga wróg, aby mu czém prędzéj plunąć w oczy chmurą strzał, zaszczekotać dzirytem i szablą.

A daléj na milę i dwie, niby ramy obrazowi, bladomodra wstęga lasu, tych odwiecznych kniei Lubelskiéj dzierżawy, które jéj mieszkańcom za niedostępną stają warownię, w razie gdy zuchwały Jadźwinga lub groźny Mogoł, jéj bujne najeżdżają niwy.

Oczy jednak podróżnych nie błąkają się po tym cudnym widnokręgu, nie rozpatrują jego piękności, inny je przedmiot zajmuje.

Cały przestwór niebiosów gruba chmura zaległa, tak gruba a czarna, jakiéj może nie widziałeś w twém życiu; słońce nie zapadło jeszcze za okoliczne wzgórza i lasy. Przyniosła jednak mrok późnego wieczoru, mrok tęskny, chłodny, uroczysty, ponury; niby ten, co cię ogarnia, dreszczem przejmuje, gdy wejdziesz w podziemia kościelne, między groby twych przodków, lub wnętrza gotyckiéj świątyni, między groby trzydziestu ubiegłych pokoleń.

Ta zaś gruba i czarna chmura, zwiesiwszy się w brudnych i gęstych tumanach tuż ponad mętnemi falami Wisły, nie samą sobą tylko straszyła podróżnych; zygzaczą po niéj błyskawice, huczy w niéj grzmot, burza w całéj jeszcze nie rozwinęła się sile, ale ją napędza, na swych potężnych skrzydłach niesie wicher gwałtowny, porywczy, sykliwy.

I zachwycona jego burzliwym oddechem Wisła, ta rzeka nasza tyle poważna, tak zwyczajnie spokojna, zaczyna się sromać, gniewać, bałwanić, modre fale poczerniały kałem dna, piętrzą się, tłuką jedne o drugie, lub o piaszczysty brzeg, i niby złe, że gdy one gniewne, człek śmiał swoją łódź na nie rzucić, tę łódź ujmą w mgliste swoje ramiona, szamocą nią, rzucają bez odetchu, bez litości.

A gdy Wisła tak miota ową łodzią, gdy co chwila zgubą jéj grozi, przestrachu skargi i modłów głośne brzmią z niéj wykrzyki.

Bo na łodzi mnóstwo podróżnych, wszystkie główniejsze stany z ich odzienia napotkasz; są panowie, rycerze i szlachta, jest kupiec, filozof i żołnierz, mieszczanie i wieśniacy, niewiasty, dzieci i starce.

Zanim zaś zbliżyła się burza, a zbliżyła się tak nagle, pogodny choć upalny dzień zakłóciła tak niespodziewanie, że jéj nawet baczne

oko sternika dopatrzyć, jego żeglarski instynkt przeczuć nie zdołał. Oto jakie i w jakim porządku było osiedlenie łodzi.

Zaszczytną jéj część zasiedli panowie i szlachta, twarde ławki dla wygody pokryli makatem, rozwinęli nad sobą, aby się od skwaru letniego słońca zasłonić, bogaty namiot.

Cztéry zaś osoby reprezentowały magnacki stan: Elżbiéta z Bochotnicy, żona słynnego Poznańskiego wojewody, Maćka Borkowicza, jéj siostrzenica Jadwiga z Dzieżykraju, Spytko Zaklika, Lubelski kasztelan, i młody rycerz Toporczyków Prozarpij, Otto z Szczekarzowa Tarło.

Szlachta równąż liczbę reprezentantów liczyła; piérwszym z nich jest dziedzic na Głusku (wiosce niedalekiéj od Kazimiérza), Maciéj Zerwikaptur Kulesza, drugim plenipotent kasztelana, Jacek Skóra Jastrzębczyk; z dwóch innych, jeden zagrodowy pan brat, herbu Dębno, Grześko Powała, drugim dworzanin wojewodziny i jéj koniuszy Jakób Strzemieńczyk.

Szlachta i panowie, jak to wspomniałem, wyższą część zajmowali łodzi; w jéj środku usadowił się pośredni stan, w swych członkach: żołnierzu, juryście, akademiku Krakowskim i dwóch Kazimiérskich mieczczanach.

Nie mam potrzeby skreślać postawy, ni charakteru żołnierza; stary wojak, jak większa część jego kolegów, był zamaszysty, rubaszny, wąsaty, w ustach grube naśmieszki lub przekleństwa, w oku siła i męztwo, serce proste, poczciwość wielka, dodaj trochę ogłady i lepsze zasady moralne, a miałbyś wyśmienitego człowieka.

Filozof, akademik Krakowski, całkiem inna figura; człowiek to niski, pękaty, a cały czarno ubrany, na głowie doktorski biret, żywy rumieniec na twarzy, na zwiększoném łysiną czole dumna powaga, drobne oko żywo świéci i pyszne na okrąg miota spojrzenie, słusznie zaś tak jest a raczéj w trop charakteru akademika, dumny swoją mądrością, pyszny nauką, z góry na wszystkich poglą da i za nic sobie ich ma; cóż bowiem oni, umiejąż to co on? rozumiejąż co on rozumié? Czy bogaci magnaci, czy uboga szlachta, cóż dopiéro głupia czerń, godnaż mu zawiązać u trzewika rzemyk?

Każdy gatunek głupstwa jest szczęściem, a przedewszystkiém zarozumienie.

Kupiec, niepospolita figura przebiegu i rachunku; blady, wysoki a chudy, umieścił się tuż przy akademiku, wsparł się na dwóch pękatych, pełnych srebra workach, i duma, a duma, czy rozliczając swoje zyski wczorajsze, czy straty zeszłego tygodnia... Jak doktór w nauce, on w złocie swoje szczęście widzi, lecz doktór zadowolniony tém, co umié, kupiec niezadowolniony tém, co ma, grosz grosza, tysiąc innego tysiąca obudza pragnienie, i nasz spekulant w bezustannéj pracy wiedzie życie i ono mu niby długi jeden dzień gorączki, w któréj trawi pragnienie, a napój brany do ust nie gasi go, lecz owszem podwaja.

Z dwóch mieszczan, jeden Kazimiérski ławnik, zamożny kilku domów właściciel, dumny majątkiem i urzędem, rozparł się szeroko na ławce, charcze, dyszy, pot z czoła ociera, a półgębkiem z obok siedzącym kolegą rozmawia; ten ubogi rzemieślnik, szczęśliwy, że z swym ławnikiem na jednéj ławie usiadł, opowiada mu swoje niedolę, zajścia z żoną, kłótnie z sąsiadem, nieprzyjaźń pana burmistrza, wreszcie zakrój jurysty na jego chudobę.

A ten jurysta był właśnie na łodzi, nie pocieszna, ale wiele znacząca figurka, chytry, przebiegły, ruchawy, o sumienie mało dba, bo brudne, że nie warte niczego; prawo mu obszerną knieją, w któréj do woli może polować; téj kniei zna wszystkie ścieszki, łów więc idzie korzystnie, na łodzi nawet bezczynnym nie jest; to z dziedzicem na Głusku układa plany procesu, i obrony przeciw wierzycielom, to ubogiego mieszczana straszy, aby kilka groszy wyłudzić od niego.

Niższa część łodzi, a ta, w któréj sternik rudlem kieruje, cała zapełniona gwarnym biédnym tłumem: są tam starcy i dzieci, mężczyzni i niewiasty, a wszystko gmin, czerń, poddani wiejscy, okupnicy królewscy, i miejska Kazimiérska hołota; i tam przecież odcienia stanów widoczne, zamożni gospodarze i ich żony, sołtys, radni i służba dworska, arystokracye gminu stanowią; plebejuszami są, wyrobnicy i parobcy, dwóch żydów w obdartych opończach, dróciarz Słowak, chłopiec blady, chorobą strawiony i głodny, bo w tych stronach mało odbycia, i wreszcie, żebrak z tor-

bami na plecach, a kijem o jeżowéj skórze w ręku; i dwóch łotrów opryszków o groźnych postawach, dzikiém spojrzeniu, których w dybach pod sąd Grodzki wiedzie miejski pachołek.

Co do niewiast, tych jest pięć: żona sołtysa z córką, obie strojne w korale, w bawełniane spódnice i jubki wyłożone futrem; przekupka Kazimiérska, jéjmość indyczéj postawy, spasła, rumiana, jéj język kołowrot w bezustannym ruchu; biédna jakaś wieśniaczka z drobném dziecięciem u piersi, i druga, któréj stanu trudno odgadnąć, ubiór bowiem dosyć bogaty; jedwabna sukienka, manele na piersi, srebrne kolce w uszach, a na nogach żółty, kurdybanowy trzewiczek, młodość téż jest i urody nie brak, a jednak niby parya w owym tłumie; gdźie się obróci każden unika, przedewszystkiém niewiasty; ona nie zważa na to, wyszukała najdogodniejsze miejsce i sadowi się na niém, a uśmiecha się i minki stroi; jéj zaś wzrok przedewszystkiém ku wyższéj części łodzi zabiega, nie bez przyczyny zaś, odpowiada mu bowiem drugi, a to Jakóba Strzemieńczyka, poufnego wojewodziny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Text do *Nru. 166.*

„Chłopek ci ja chłopek."

(Patrz Pieśni wyszłe w Poznaniu r. 1826.)



Nº 166.

z Wielkopolski i Kujaw

Chłopek ci ja chłopek.

Zeszyt dziesiąty Roku I. pisma miesięcznego: *Kościół i Szkoła*, zawiera następujące artykuły:

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)